

Nowa Cyganeria



Anna Kieseewetter

Anna Kiesewetter

NOWA CYGANERIA

© Copyright by Anna Kiesewetter 2014

Projekt okładki: Marek Łukaszewicz

ISBN: 978-83-8166-335-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

1.

Nasze pojęcie cyganerii dla wielu ludzi wiąże się wyłącznie z rozwiązłością seksualną, alkoholem, ewentualnie narkotykami. Takie jest powszechne przekonanie. Półświatek, prostytutka, dzikie orgie i zarabiane miliony – powtarzane przez tak zwaną opinię publiczną – napędzają pieniądze, a przede wszystkim działają na wyobraźnię.

Słowa dotyczące „niewiarygodnie wielkich pieniędzy” w tym kontekście są jak najbardziej na miejscu, ale tylko w ramach tak zwanego powszechnego użytku. Bo mnie na przykład pojęcie cyganerii kojarzy się raczej z chronicznym brakiem gotówki i wiem, co mówię, bo się wśród artystów urodziłam i żyłam wśród nich przez cały czas swojego istnienia.

Brak czasu i pieniędzy nie jest w tym środowisku jakimś wymysłem dwudziestego, a już na pewno nie dwudziestego pierwszego wieku. Pojęcie „chudy literat” znane już było w czasach tak odległych, że ginących w pomroce dziejów. Nasza cyganeria nie stanowiła tutaj wyjątku.

Wbrew rozpowszechnionym opiniom ciężkie życie żon artystów skłaniało mnie raczej do przypuszczeń, że

moja własna matka musiała darzyć ojca wyjątkowym uczuciem, skoro tyle lat z nim wytrzymała. Miejsce w kolejnej encyklopedii i zapiekanka na obiad były w mojej rodzinie chlebem powszednim.

Nie wolno mi zapominać także tych alarmujących telefonów do mojego ojca od jednego z luminarzy polskiej sztuki, któremu w tym momencie akurat skończyła się forsa. Potem z kolei ojciec dzwonił do pewnej rozgłośni radiowej, kiedy zostawała mu w kieszeni ostatnia złotówka. Zdaje się, że w ciężkich chwilach wspomagali się nie tylko mistrzowie polskiej muzyki, o których (oczywiście po ich śmierci) niejeden palant mówił „mój przyjaciel”, ale i inni posiadacze znanych nazwisk chorujący na niedyspozycję nazywaną „byle do pierwszego”. I nikogo nie zdziwił jeden z artystów, który po otrzymaniu nagrody państwowej zaprosił do Fukiera cały Związek Kompozytorów Polskich.

Dlaczego wobec tego zdecydowałam się iść tą samą drogą, choć może w trochę innej dziedzinie, skoro nie tylko nie rokowała w przyszłości godziwych zarobków, ale jakichkolwiek w ogóle? Ano, jakoś tak samo wyszło.

Każdemu artyście z mojego otoczenia „właściwie jakoś tak wychodziło samo”, co nie oznacza, że przez to mieli więcej pieniędzy, czy że w ogóle im ktokolwiek za cokolwiek płacił. W ten sposób, aby związać koniec

z końcem, trzeba było nauczyć się prawdziwej ekwilibrystyki i to stanowiło nie lada problem wyłącznie dla żon twórców. A kiedy powiedziałam, że i mnie przydałaby się taka żona, usłyszałam, że jestem... lesbijką.

Czy moja cyganeria kochała alkohol? Owszem, ale wyłącznie wtedy, kiedy ktoś inny go kupił, w związku z czym wsławiła się nieustanną trzeźwością. A zamiast kwiatów z okazji różnych uroczystości wręczało się artystom wałowę.

Jednej natomiast rzeczy nie można było odmówić temu zbiorowisku oryginałów. Wisielczego poczucia humoru, szczególnie na swój własny temat. A były to często nazwiska z pierwszych stron gazet.

Życie na granicy głodu stało się tak nagminnym przyzwyczajeniem, że gdyby udało się nam zarobić jakąś większą forszę, nie wiedzielibyśmy, co z nią zrobić. Na wszelki wypadek jednak od razu zrezygnowałam z prawa jazdy, bo jako żywo na myśl mi nie przyszło, żebym była w stanie kiedykolwiek zarobić tyle, żeby sobie kupić samochód.

Legendy krążyły o zarobkach otaczających mnie artystów. Słowo „milioner” odmieniano przez wszystkie przypadki. Prawda zaś była taka, że co prawda jednemu z nich państwo ofiarowało dworek, ale odmalować i wyremontować go już nie miał za co. Musieli to zrobić za przyjaźni z mistrzem studenci.

Legendy i te wszystkie opowieści o orgiach, milionach i wystawnym życiu nie tylko można włożyć między bajki, ale trącą wyłącznie jakimś pobożnym życzeniem. Pewnie sama bym uwierzyła w tę prawdę absolutną, gdybym nie wiedziała, że tylko wyjątkowy popapraniec mógł się zdecydować na taką profesję.

A były to podobno czasy sprzyjające artystom, gdy państwo sprawowało nad nimi opiekę, w ramach której faworyzowano ich i noszono na rękach. Zaiste, dziwna to była forma uwielbienia, skoro zupa gotowana na cały tydzień z góry była luksusem. A jeżeli wtedy było tak dobrze, to co nas, artystów, może czekać w przyszłości? Wolę nie wiedzieć.

Życie pokazało, że miały się spełnić najczarniejsze scenariusze. Artystom w ogóle przestano płacić, bo według wszelkich znaków na niebie i na ziemi, powinni byli żyć z tych milionów, o których powszechnie mówiono, a których nikt na oczy nie widział.

Rozumiem, iż wydawcy oraz inni prominentni władcy tej ziemi z góry założyli, że artysta może żyć natchnieniem, ale osobiście uważam to za pewną przesadę, jeszcze większą niż wtedy, kiedy płacono mało, ale w ogóle coś płacono. Teraz każdy chciał mieć sztukę za darmo.

Dlaczego więc nie rzucić w cholerę tego zajęcia i nie odejść do innego? Wielu tak zrobiło, ale pozostała dość

liczna grupa straceńców i uparciuchów, co bez sztuki żyć nie mogli. I, co gorsza, jeszcze widzieli w niej swoje szczęście, co już jest zboczeniem. Reszta się wykruszyła.

Albowiem sztuce można oddać wszystko albo się nią w ogóle nie zajmować. Jest czymś w rodzaju obsesji. Pisać (malować, tworzyć itp.) się wręcz musi. I tu nie ma żadnego wyboru. Zawsze w ten sam sposób powstawała ta najbardziej poszukiwana i wartościowa, kiedy pisarz (tu zacytuję Boya–Żeleńskiego) powtarzał sobie: „Chce mi się pisać wiersze, jak dziecku psipsi chce się”.

Nie było takiej osobowości, która by ze sztuki wyżyła. Może za wyjątkiem paru autorów kryminałów i całego cyklu pornosów, ale to niewiele miało wspólnego z artystyczną działalnością. W tym fachu „trzymać fason” oznaczało „nie obniżać lotów”, choćby wszyscy diabli i szatani się na artystę uwzięli.

W tej chwili króluje szmira akceptowana przez tak zwanych sponsorów, czyli dorobkiewiczów, którzy nie odróżniają Mony Lisy od jelenia na rykowisku. Ale ponieważ tylko ich gust się liczy, cała reszta, która nie produkuje takich arcydzieł na skalę masową, ma przechlapane.

Nie zdarzyło się w naszej historii, żeby twórca z prawdziwego zdarzenia miał z czego przeżyć. W związku z tym właśnie dla nich powstały rozliczne posady uniwersyteckie, aby w ogóle mieli co do garnka włożyć.

Ale i tu dotarła wieść gminna o zarabianych przez nich milionach i nawet z tych stanowisk zaczęto artystów zwalniać, wymieniając ich na dyletantów i teoretyków, co niczym impotenci wiedzieli, jak to się robi, ale sami nie mogli niczego zrobić.

I wróciliśmy do punktu wyjścia: że tylko artysta artystę zrozumie. I, o dziwo, zwiększała się liczba szaleńców, co się zajmowali wyłącznie własnym tworzeniem, bo nikt przy zdrowych zmysłach by się nie zdecydował świadomie na cykliczne przymieranie głodem. Ale o ile było “pokolenie Kolumbów” i “pokolenie Syzyfów”, to dzisiejsze najlepiej nazwać “pokoleniem Fakirów”, skoro w takich warunkach byli w ogóle w stanie przeżyć.

Wydawcy nie uważają powieści czy wierszy za własność autora i do woli nimi dysponują, starając się ze wszystkich sił za nic nie płacić, ale na wszelki wypadek robią dodruki, licząc na śmierć pisarza, co by im pozwoliło się bezkarnie obłowić.

Dystrybucją książek zajmują się dawni handlarze z bazarów, co do tej pory obracali wielkimi ilościami cebuli i pietruszki, w ten sam sposób traktując książki, bo inaczej nie potrafią. Pisarz musi im nie tylko załatwiać darmową reklamę (dla wydawcy, a nie dla siebie), ale i często sam się zajmuje sprzedażą, co jest tym komicz-

niejsze, że potem nie dostaje ani grosza. Ta kwestia jest podnoszona przez kolejne rządy, ale jakoś dziwnie nieskutecznie, ponieważ istnieje święte przekonanie, że po to istnieje artysta, żeby sam się umiał utrzymać.

Ostatecznie można się skundlić i zacząć pracować dla jednej z partii politycznych, choć z tego aktu tworzenia wychodzą jakieś dziwaczne potworki, ale nie ma wyjścia, kiedy ostatni garnek świeci pustkami, a w portfelu widać podszewkę. Brak cenzury okazał się jedną wielką fikcją, narzuca się bowiem autorom konkretne tematy i na każdym kroku ingeruje nie tylko w ich twórczość, ale nawet w życie prywatne.

A legendy o milionach zarabianych przez artystów jak krążyły, tak krążą, i tylko oni sami wiedzą najlepiej, jak wygląda to w rzeczywistości. A że nie wygląda różowo, brzmi jak eufemizm. Życie można stracić, upominając się o własne ciężko zarobione pieniądze, choćby nawet najmniejsze. Przy czym podpisanie umowy nigdy nie gwarantuje jakiegokolwiek zarobku, bo nie ma go komu egzekwować. A wydawca zawsze może powiedzieć, że ani jednej książki nie udało mu się sprzedać.

2.

Moja opowieść zaczyna się pewnego majowego wieczoru, a potem nocy, podczas trwania jam session w jednym z klubów muzycznych Warszawy. Tam w zaciszu piwnicy spotykali się różnego rodzaju artyści, żeby przeżyć choć jedną niezapomnianą noc. Nie było sceny, nie było nawet krzeseł. Wszyscy siedzieli na podłodze, na której rozłożono gazety.

I zaczął się pojedynek, chyba wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju. Migotliwe światło dawały świece zatknięte w puste butelki i ociekające stearynowymi stalaktytami. Jazzmani grali bez przerwy, wymieniając się od czasu do czasu. Takiej improwizacji nie słyszałam nigdy przedtem i nigdy potem.

Pod ścianami malarze tworzyli obrazy. W migoczącym świetle postacie jakby ożywały. Jedyna galeria na świecie, gdzie nikt niczego nie sprzedawał. Nieoprawione, wyłącznie na blejtramach, nie miały nawet nałożonego werniksu. To czyniło je jeszcze cenniejszymi, bo powstawały na naszych oczach.

Całe grono początkujących i sławnych już poetów zjednoczyło się tej nocy we wspólnym wysiłku. Powsta-

wały jeden za drugim poematy, prawie w locie chwytały je aktorzy, by na bieżąco recytować całymi fragmentami. Wydawać by się mogło, że to nie teatr, ale swoiste misterium odbywające się na cześć tych, którzy mimo wszystko postanowili tworzyć. A działo się to w 1968 roku.

Nikt się nie oszczędzał. Perkusiści szaleli. Suchy rytm ich bębnów odbijał się od sklepienia i zdawał pomnażać. Saksofon i trąbka brzmiały jak ludzkie głosy. I pomyśleć, że tego spektaklu nikt nie oglądał. Był zamknięty dla publiczności.

To, że zostałam tam wpuszczona, graniczyło prawie z cudem. Ale zostałam już wtedy przyjęta do grona wybranych przez los. Alkohol? Nikt nie myślał o alkoholu. Narkotyki? Jeszcze ich nie znano. To sztuka w całej swojej sile wprowadzała wprost niewiarygodne napięcie.

To był ogromny i zbiorowy bunt przeciw zastanej rzeczywistości. Potworny wysiłek wielu godzin, żeby nie dać się pokonać. Wiem, co każdemu z nas groziło. Ale wtedy nikt nawet o tym nie myślał.

Podziemne misterium bytu ciągnęło się przez całą noc do rana. Ogluszeni muzyką rozbrzmiewającą na niewielkiej przestrzeni, wyczerpani wysiłkiem, którego owoce zbieram do dziś, czułam, jakbym brała udział w jakimś pogańskim rytuale, podczas którego każdy

dawał z siebie to, co najlepsze. Wspólnota arystokracji duszy.

Żadnego seksu, żadnego alkoholu, żadnych akcesoriów. To była erupcja sztuki w jej czystej postaci. Pochłonęła wtedy nas wszystkich, na przekór kordonom milicji, na przekór zarządzeniom kacyków, na przekór ludziom obojętnie mijającym nas na ulicy.

Na naszych twarzach widać było tylko trud i zmęczenie. Kartki pokrywały się pismem. Jazz wypełniał całą przestrzeń, aż po najciemniejsze kąty. A przecież myśmy wtedy zaledwie zaistnieli. Zniknęły światy za tymi murami. A ponieważ siedzieliśmy w piwnicy, jak w podziemnym schronie, najcichszy głos nie wydostawał się na zewnątrz.

Ta noc mnie wyzwoliła i ukształtowała. Ta wspólnota nauczyła odczuwać. Jej nie zdołała zniszczyć ani ludzka podłość, ani głupota. Bo przed nami otworzyły się bramy raj.

Od czasu do czasu wracam myślami do tamtej nocy. Jakaż z nas biła jasność! Jakaż dysponowaliśmy siłą! Nikt nas nie mógł pokonać: ani przyczajony za rogiem agent, ani nawet ci, dla których byliśmy zaledwie narzędziem dojścia do władzy.

Tej nocy sztuka pokazała, co potrafi. Gorączkowe zapiski na kartkach zamieniały się potem w powieści

i poematy. A my gotowi byliśmy iść na barykady i tam kontynuować nasz piekielny sabat.

I pomyśleć, że nikt nigdy nikogo nie zdradził. Nikt nie doniósł, komu należało. Wszystko, co się odbywało w tej piwnicy, w niej też pozostało na długie lata, tworząc tkankę, od której nasze pokolenie mogło się odbić.

Pokolenie Kolumbów miało swoją wojnę. Pokolenie Syzyfów swój stalinizm. A myśmy mieli nie strzelby, nie karabiny, nie armaty, ale sztukę i za jej pomocą zdobywaliśmy świat. Ten świat, który nieustannie spychał nas na margines, który nie chciał nas uznać, który uważał nas za niegodnych miana ludzi. Lecz myśmy parli uparcie naprzód jak jedna wielka armia, nie zatrzymywani przez nikogo. Nas po prostu nikt nie był w stanie zatrzymać. Nas można było albo zabić, albo pokochać. Zniewolić nie pozwoliliśmy się nigdy. My, pokolenie zwane pokoleniem Niewinnych Czarodziejów.

Komu się wydawało, że tworzymy jedynie grupkę młodych, niezdarnych ludzi, ten automatycznie z nami przegrywał. Bo my byliśmy silni. Zbyt silni, aby ktokolwiek był w stanie nas pokonać.

Nie podoba ci się świat, który cię otacza? To go zmieniaj. Po cichu, cierpliwie, krok po kroku, z uporem,

z wiedzą, z całym naszym wykształceniem. Myśmy mieli swoją wojnę i swoje własne cele. Myśmy nie zabijali. Myśmy po cichu tworzyli nową rzeczywistość.

Niedokończone dzieło naszych rodziców. Kontynuacja pokoleń. Myśmy mieli czas, żeby tego dokonać. Nasi rodzice go nie mieli. Noc magii, noc absolutnego spełnienia. Tak to się zaczęło. O nas nikt nigdy się nie dowiedział. Armia cieni.

I kiedy jeszcze dziś słyszę: „Niech poeci idą do domów”, „Nic tu po malarzach”, „Wam samym trzeba wytłumaczyć, po co istnieje muzyka” – myśmy wiedzieli, że nie ustąpimy. Nie oddamy pola tym błękitno-szarym mundurom, zarażonym siłą i chorym na totalitaryzm.

Naszą największą bronią były nie karabiny i armaty, ale wiedza, z którą nikt nie był w stanie wygrać. Ruszały przeciw nam całe zastępy marcowych docentów, niedorobionych magistrów, przekupnych sędziów i adwokatów, a myśmy i tak parli naprzód, niezatrzymywani przez nikogo. Nikt nawet nie podejrzewał, że istniejemy. A myśmy byli. Byliśmy bardziej, niż to się komukolwiek śniło.

Ta noc była naszą inicjacją. Naszym początkiem walki o przyszłość. Jak armia duchów rozbiegaliśmy się w koło i znikaliśmy za każdym rogiem ulicy.

Ach, ci artyści – wzdychają w mediach drobnomieszkańskie duszyczki. Nikomu nie radzę nas lekceważyć.

Pod koniec tej nocy staliśmy się armią nie do pokonania. Tym groźniejszą, że niewidzialną, ale zbyt świadomą tego, co się działo. Nas nie stworzono po to, byśmy umieli burzyć. Nie po to istnieliśmy, by niszczyć. Myśmy zostali przygotowani na rozpoczęcie generalnych porządków i wielkiego budowania, kiedy nadejdzie właśnie ta jedna jedyna chwila.

Naszą bronią była wiedza. Tej nikt nie mógł nas pozabawić. Wychowankowie największych uniwersytetów świata. Artyści, których by nikt nie podejrzewał. Specjaliści od spraw beznadziejnych. Spokojni, rozsądni, ukrywający swoje emocje. Nasza wiedza dała nam narzędzia, mogliśmy stracić wszystko, ale wiedzy nikt nam nie był w stanie odebrać.

Biedne, drobnomieszczańskie duszyczki. Zachowywali się, jakby naprawdę mogli nas sprowadzić do siebie tylko znanych wymiarów. Jakże chcieli, żeby ta rzeka wystąpiła z brzegów. Jak pragnęli, żeby poetki liryczne wróciły do pisania swoich wierszy. Ale my już posiadaliśmy bezcenne wykształcenie, a drobnomieszczańskie duszyczki nawet o tym nie wiedziały. Nawet nie podejrzewały, co jeszcze umiemy.

Noc kończyła się razem z brzaskiem. Powoli wstawało słońce. Można pisać liryczne wiersze i jednocześnie walczyć z całym światem. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Słyszeliśmy: „Niech artyści wracają tam, skąd przyszli”.
A skąd myśmy przyszli, jak nie z wnętrza samego piekła?
Noc się kończyła razem z pierwszymi promieniami
słońca. Wiersze też czasem trzeba umieć czytać.